

W dniu 28 sierpnia 1942 r. generał Władysław Sikorski podpisał w Londynie następujący rozkaz:

„Pilne!

L.dz. 3145/Tj.n.O.I./Org.42.

W ślad za pismem L/dz. 2857/Tj.n.O.I.St./42 zarządzam sformowanie kompanii <<Commando>> wg następujących wytycznych:

1. Jednostka formująca: 1 Sam. Bryg. strzel.

2. Skład osobowy - zał. Nr 1.

3. Termin sformowania: 20 IX 42.

4. Odznaki: patki piechoty [...]. Na rękawach poniżej <<Poland>> napis <<Commando>> typu brytyjskiego [...].

8. Kompania <<Commando>> wejdzie w przyszłości w skład Międzyalianckiego Commando, z tym że stanowić będzie nadal jednostkę Polskich Sił Zbrojnych.

Z chwilą wejścia w skład Międzyalianckiego Commando Kompania pod względem organizacyjnym podlegać będzie mnie bezpośrednio przez sztab NW [...].”

Ten nie publikowany dotąd dokument wyznacza początek historii jednego z najmniej znanych polskich oddziałów wojskowych na Zachodzie - Pierwszej Samodzielnej Kompanii Commando, przekształconej pod koniec wojny w Batalion Komandosów Zmotoryzowanych. Polscy komandosowie byli pierwszym zwartym oddziałem, który wylądował na Półwyspie Apenińskim, oni też pierwsi z Polaków weszli tam do akcji bojowej. Brali m.in. udział w walkach nad rzeką Garigliano, wchodząc w skład zgrupowania komandosów brytyjskich. Włączeni następnie do polskiego 2 Korpusu walczyli pod Monte Cassino, jako pierwsi wkroczyli do Ankony, bili się o Bolonię. W pewnym okresie przyłączona została do nich tzw. włoska kompania komandosów, powstała z ochotników Włochów pragnących walczyć z Niemcami.

Pierwsza Samodzielna Kompania Commando, oddział złożony z około setki żołnierzy, wytrenowany wszechstronnie w specjalnym centrum szkolenia komandosów w Wielkiej Brytanii, dał w bitwach dowody ogromnej sprawności, odwagi i poświęcenia. Jednak, jak dotąd, jego dzieje były mało znane, jak zresztą w ogóle dość mało znane są u nas dzieje komandosów.

Istnieje szereg nieporozumień co do samej nazwy „komandosowie”. Komandosowie bowiem utożsamia się zwykle z wojskami powietrzno-desantowymi albo „cichociemnymi” - specjalnie przeszkolonymi skoczkami spadochronowymi zrzucającymi na tereny krajów okupowanych i wchodzącymi w kontakt z tamtejszym podziemiem antyhitlerowskim. W Polsce znana jest historia desantu spadochronowego pod Arnhem, słynna operacja „Market Garden”, w której wzięła udział m.in. 1 Polska Samodzielna Brygada Spadochronowa pod dowództwem generała Stanisława Sosabowskiego. Ukazało się na ten temat szereg opracowań historycznych i książek beletrystycznych, by wspomnieć tylko Arnhem Witolda Biegańskiego, tłumaczoną u nas z angielskiego pracę gen. R.E. Urquharta Arnhem czy powieść Bohdana Drozdowskiego Arnhem - ciemne światło. Drukowano też niemało tekstów „cichociemnych”. Na ekranach oglądaliśmy słynny angielski film Richarda Attenborougha O jeden most za daleko, a którym w dwóch obszernych sekwencjach występują polscy komandosowie generała Sosabowskiego. Jego postać kreuje - nawiasem mówiąc - znakomity amerykański aktor Gene Hackmann. Tymczasem

komandosi byli to – cytując Encyklopedię II wojny światowej wydaną przez MON – „specjalnie szkoleni żołnierze bryt. pododdziałów dywersyjno-rozpoznawczych, będących w dyspozycji Zarządu Operacji Specjalnych (SOE) i dowództw teatrów działań woj. w czasie II wojny światowej oddziały komandosów przeprowadziły wiele udanych akcji na obszarach zajętych przez nieprzyjaciela [...], brały także udział w morskich operacjach desantowych 1942-1944 oraz operacjach powietrzno-desantowych wspólnie z oddziałami spadochronowymi [...]. Początkowo zorganizowani byli w kompanie, pod koniec wojny w bataliony i brygady[...]”.

Komandosi byli żołnierzami działającymi najczęściej – przynajmniej w pierwszym okresie – „z wody na ląd”: osiągalni swoje cele, podpływając do brzegów Francji, Norwegii, a następnie wybrzeży Morza Śródziemnego na niewielkich motorówkach lub łodziach desantowych. Wyszukani doskonale zarówno we wspinaczce wysokogórskiej, jak i w walce na noże, potrafiący celnie strzelać „z biodra” z broni maszynowej, poruszający się bezszelestnie w nocnych ciemnościach, szybko obrastali w legendę.

Ich oddziały składały się z samych ochotników. Każdy komandos mógł bez ujmy dla żołnierskiego honoru wrócić do macierzystej jednostki, ale takie powroty zdarzały się niezmiernie rzadko. Natomiast największą karą było dla komandosa karne odesłanie go do oddziału, z którego się wywodził. Ich organizacja, umiejętności i metody szkolenia były w owych czasach zupełnym novum, a spowijająca ich działalność tajemnica sprawiała, że interesowano się komandosami o wiele bardziej niż innymi, równie wybitnymi wojskami. Komandosów rozpoznawało się po zielonych beretach, napisie „Commando” na rękawie oraz znaku tzw. Operacji Połączonych. Była to ciemnogrnatowa okrągła tarczka z umieszczonymi na niej czerwonymi, połączonymi emblematami marynarki wojennej, wojska lądowego i sił powietrznych: kotwicą, tommy-gunem i albatrosem w locie. Dokoła biegł napis „United We Conquer” (Zjednoczeni zwyciężymy).[...]

Wyczerpujący wgląd w historię polskich komandosów dają ich szczegółowe, pisane z dużym dziennikarskim zajęciem, dzienniki bojowe (każdy pluton prowadził taki dziennik) oraz kronika kompanii, a następnie batalionów komandosów, do jakich udało mi się dotrzeć w czasie wielomiesięcznych poszukiwań w Londynie, a także relacje i wspomnienia ustne i pisemne byłych żołnierzy oddziału, z jakimi mogłem się zapoznać i które tutaj obszernie cytuję ze względu na ich niewątpliwą wartość literacką. Dało to w sumie ogromny materiał, którym wypełniłem grube bruliony, plus – oczywiście – zdjęcia, mapki i szkice sytuacyjne. Z tych materiałów wyłania się barwna opowieść o unikalnym oddziale polskiego wojska. Unikalnym nie tylko ze względu na swoją wojskową specyfikę, ale także dlatego, że znalazło się w nim wyjątkowo wielu ludzi obdarzonych talentami pisarskimi.

Oto ta opowieść...